

Pierwsze trawy

Autor: Zygmunt Skibicki
15.12.2008.

Pustawy pociąg niespiesznie zagłębiał się w Bory Tucholskie. Obok leżał niewielki plecak na dwa dni: śpiwór, sweter, trochę żarcia, aparat fotograficzny, statyw. Bardzo wczesna wiosna budziła się do życia. W głębokich rowach przy torach leżały jeszcze brudne, ostatnie resztki śniegu. Wczesny ranek, prawie brzask – chłodno.

Wagon był nie ogrzewany, więc siedziałem w kurtce z twarzą schowaną w wysokim kołnierzu kurtki. Ciekawe czy w lesie będzie dużo śniegu. Nocleg zamówiłem u znajomego leśniczego. Do przejścia mam dobrych trzydzieści kilometrów. Można krócej, ale wykombinowałem okrężną drogę, bo właśnie tak chciałem.

Trzeba popatrzeć na zielone. Inaczej oszaleję. Wszystko do dupy... Kwadratury koła nie rozwiążę, ale może choć uratuję twarz. A może jednak jest jakieś inne, rozsądne wyjście dające szansę dalszej, spokojnej pracy?

Wiele razy już tak robiłem. Jak mi się za dużo napętlilo, jechałem na kilka dni w góry. Połąziłem, pozdychałem pod plecakiem i zawsze przychodziło jakieś rozwiązanie, którego bym nigdy nie wymyślił na miejscu. Pewien bardzo mądry człowiek nawet to jakoś wytłumaczył. Mniejsza z tym jak – pomagało. Teraz nie było czasu nawet na kilka dni urlopu. Pozostała sobota i niedziela a w pobliżu były Bory a w nich znajoma leśniczówka. Może i tym razem poskutkuje...

Pociąg ruszył z kolejnej stacji. Na następnej wysiadam.

.....
Wylałem tego pijaka... Co z tego, że członek zarządu związku? Już nie mam sił na robienie płochliwych uników. Zresztą, cholera - w imię czego?

Jeszcze miesiąc temu wykonałem slalom między tyczkami prawdy i uczciwości własnej. Wysłałem bełkoczącego „po wczorajszym” gnoja wprost ze stanowiska pracy do domu a sam wsiałem we własny samochód – w takich sprawach lepiej nie mieć ze sobą kierowcy - i pojechałem na spotkanie z szefem centrali związkowej prosić by on wreszcie przemówi pijaczkowi do rozsądku. W końcu jego kumpel. Dobrze, że był w nieodległym zakładzie na jakiejś konferencji – wieczorem byłem z powrotem. Ten szef centrali był z mojego zakładu, więc liczyłem że mi pomoże. -Ależ oczywiście panie dyrektorze. Już ja go op..... Ma pan to załatwione. Od jutra nie weźmie alkoholu do ust. Jutro go wezwę do Warszawy. Taki palant, no... Ale ja go ustawię. Na nas można liczyć a już pan to ma u nas nieograniczony kredyt pomocy. Gdyby nie pan, to... pamięta pan. No, my też pamiętamy. Muszę lecieć... – i polecił na kolejną naradę.

Gówno pomogło. Nie minął nawet miesiąc a świętokrowiały członek zarządu zakładowej organizacji związkowej o dziesiątej rano śłaniał się przy tokarni ziejąc skwaszonymi wyziewami.

Wszedłem do warsztatu z błahego powodu. Z daleka zauważyłem co się dzieje i chciałem natychmiast wyjść, ale ten cymbał przykolebał się mając „nie cierpiącą zwłoki” sprawę rangi służbowej. Wokół mnóstwo ludzi a ten „wykłada” mi związkowe pretensje. Nie było rady:

-Ze mną proszę.

Kadrowa, przedstawiciel rady pracowniczej, oczywiście pop i jeszcze jeden członek zarządu związku. Zanim się zebrali zdążyłem zadzwonić do centrali związku.

-Jasne, niech go pan wypieprzy. Nie będziemy interweniować. On nam psuje opinię.

No i po herbacie – przyjął dyscyplinarkę, podpisał. Sam na piśmie przyznał się do przebywania na stanowisku pracy w stanie wskazującym na znaczne nadużycie... Tylko coś mi obiad nie wchodzi...

Gdzieś od środka czuję, że tak łatwo to się to nie skończy. Gdzie będzie interweniował? W Komitecie partyjnym może być dopiero po wytrzeźwieniu. Tam już też dwa razy po zapiciu prosił o pomoc – skutkowało, bo nie mogło nie skutkować.

Jest piątek, jutro wolna sobota, więc dopiero w poniedziałek. Ciekawe co powie sekretarz jak zobaczy własnoręczne przyznanie się do znacznego...?

Zadzwonił telefon.

-Panie dyrektorze, to ja Leszek... z Warszawy dzwonię... – nigdy się tak nie przedstawiał. Zawsze było: - tu centrala związku, mówi przewodniczący... i tak dalej. Teraz ta bezpośrednia forma i to zakłopotanie w głosie...

-No, dzwonił do mnie... Nie wiem, co robić...? Zawsze to członek zarządu... Panie dyrektorze... może dałoby się coś zrobić...? Cholera, nie mam pomysłu. Może... pan coś wymyśli? Pan ma zawsze takie dobre pomysły! Ma pan nasze pełne poparcie, ale... Wie pan, w tej sprawie powinna być uchwała zarządu centrali. Oni go wszyscy lubią. Obawiam się, że nie dadzą zgody. To przecież jest człowiek... ma prawo zbłądzić.

Gdzie ja jestem? O co tu chodzi? Przecież uzgodniłem to z nim. Facet regularnie przychodzi zalany do

pracy, jego żona trzy razy interweniowała u mnie, że wraca z pracy pijany. Jeszcze chwila i to zakład będzie winien pijaństwu ojca rodziny. Jak dyscyplinować innych pracowników? Mam przymykać oczy na pijaństwo jednego, bo jest członkiem zarządu a innych karać bez taryfy ulgowej?

-Jest tam pan...?

-Jestem, jestem!

-Bo tak nic pan nie mówi... już myślałem że rozłączyli, więc my go oczywiście zdyscyplinujemy, ale żeby tak od razu zwolnić...? Trzeba to jeszcze przemyśleć... Wie pan co... dajmy sobie czas do jutra...

Kurcze... tak głupio rozmawiać z panem na stopie oficjalnej... ja jestem Leszek... tak lepiej brzmi... No więc dzwoniemy się jutro... Na pewno coś wymyślisz. Zawsze mówię, że kto jak kto, ale ty to jesteś prawdziwy dyrektor. Pamiętasz, jak w Komitecie położyli się w poprzek a ty powiedziałeś... nie, ja związkowcom obiecałem i dotrzymam słowa. My to pamiętamy. Teraz to my nie pozwolimy zrobić ci krzywdy..., ale... musisz coś z tym zrobić...

A co z tym można jeszcze zrobić? Facet ma poczucie nietykalności, albo właśnie tego poczucia nabiera. Wycofać zwolnienie? Toż to będzie nic innego jak zgoda na pijanych pracowników w pracy. Żadnego pijaczka już się nie da zwolnić. Każdy zapyta: a tego związkowca to pan nie zwolnił, a mnie to pan zwalnia? Zaraz, a może to od początku ukartowana gra? Może go nawet do tego namówili kolesie z centrali: -ty go sprowokujesz, a my cię obronimy. Jak by nie zrobił – będzie nasz. Dałem się zrobić, nie ma co.

-Jesteś tam...?

-No jestem przecież...

-Znowu myślałem, że rozłączyli. Pamiętasz jak to było w stanie wojennym? Wtedy to było, nie...? No słuchaj, nie można członka zarządu tak po prostu zwolnić. Musisz to zrozumieć. Masz nasze poparcie, ale wiesz... trzeba współpracować! Zresztą, co ja ci będę tłumaczył... sam wiesz jak jest... To co, dzwoniemy się jutro. Tylko wiesz - jutro sobota, to zadzwoń do mnie do hotelu. Najlepiej koło południa i niech łączą do restauracji! To cześć, liczę na ciebie! - i rozłączył się.

Odłożyłem słuchawkę. No, to już wiem gdzie jestem. Jak ustąpię to nie dość, że już zawsze będę musiał tolerować wszystko, ale jeszcze natychmiast uruchomię napastników z rady pracowniczej i pop-u. Im też to będzie na rękę, że można przykleić dyrektorowi łatkę tolerującego alkoholizm obniżający efektywność pracy zakładu. A im przecież zależy na wynikach ekonomicznych... Guzik prawda, każda z tych organizacji ma swoich, którzy chcą być na lepszych prawach. Siatki płac nie przekroczą, ale w sprawach dyscypliny...

W „trójkącie bermudzkim”: związki zawodowe, pop, rada pracownicza – dyrektor może być co najwyżej piłką w grze. Prędzej czy później nie ma nic do powiedzenia a wszystkiemu jest winien. W końcu – dyrektor, nie? Powątpiewałem, gdy mi to mówili inni – teraz już wiem jak to jest.

.....
Las przywitał mnie rześkim chłodem, ale śniegu już nie było. Nad jeziorem unosił się mglisty opar mgły. Poziom wody był wysoki – jak to wiosną. Na przybrzeżnych łąkach stała woda. Za wczesna wiosna na powszechny świergot ptaków. Ciszę zakłócały tylko moje kroki. Już po kilkuset metrach las wchłonął mnie całkowicie. Z każdym kilometrem byłem dalej od mnogości codziennych spraw. Została ta jedna, z którą tu przyjechałem

.....
I po co mi to było? Zamiast spokojnie jako inżynier po dwunastu latach pracować na stanowisku powiedzmy technologa - co zresztą studiowałem, poniosło mnie w piramidalnie absurdalne dyrektorskie zawijasy.

-Będziecie inżynierami, oficerami produkcji – tak nam wpajano podczas studiów.

No i byłem. Nawet mi to odpowiadało. Mało nudne zajęcie. Maszynaria stara jak świat, co chwila jakieś awarie, brak dosłownie wszystkiego. Tylko inwencja, pomysłowość i permanentna improwizacja utrzymywały zakład w ruchu.

-Každy inżynier znajdzie sto powodów, dla których powinien zatrzymać produkcję. Ty właśnie będziesz po to w fabryce żeby znaleźć ten jeden jedyny sposób, aby produkcja mogła trwać. – tak mi mówił stary profesor, promotor mojego magisterium.

Branża nie była łatwa. Nawet jedna z najcięższych w moim przemyśle. Zawsze jednak umiałem porozumieć się z ludźmi. W trudnych chwilach nie wahałem się stanąć razem z nimi i jak było trzeba szufłowałem łopatą czy włożyłem w każdy zakamarek bebechów instalacyjnych, gdzie diabeł posyłał w zastępstwie przysłowiową babę na co moi brygadziści znacząco pukali się w głowę. I mieli za swoje, bo przykład działał i coraz rzadziej przychodzili z mędrkowatymi minami żeby oświadczyć: -to się nie da, panie dyrektorze. Bo się dawało.

No to awansowałem. Z młodego inżyniera zrobili mnie dyrektorem. Pietra miałem jak cholera. Skąd miałem wiedzieć na czym polega praca dyrektora? Żona zdecydowanie odradzała. Komu jednak w wieku dwudziestu siedmiu lat taki awans nie zaimponuje? Zresztą ojciec i dziadek też zostali dyrektorami dokładnie w tym samym wieku. Może następnej okazji już nie będzie.

Moje stanowisko wymagało akceptacji w miejscowym Komitecie. Dostojna świta obsiadła fotele po jednej stronie biurka typu "lotniskowiec". Ja, żuczek sam po drugiej odbijając swój wizerunek w nienagannie błyszczących, ciemnych płytach zwalistego mebla.

-Ile macie lat stażu w przemyśle? ‐ spytał pierwszy sekretarz tego gremium.

-Dwa.

-To mało, wiecie...bardzo mało. A ile lat stażu partyjnego?

-Osiem.

-O, to na pewno dacie sobie świetnie radę. Gratuluję i powodzenia!

Tak dokładnie wyglądała i dosłownie brzmiała weryfikacja mojej kandydatury na stanowisko dyrektora jednego z największych zakładów tej branży w kraju. Nikt mnie o nic więcej nie pytał. Nikogo nie interesowało, że ja w tej partii przez całe osiem lat absolutnie nic nie robiłem. Dałem się podpuścić na studiach i zapisałem się. Nie ja jeden w tym kraju. Nikt ode mnie niczego w związku z tym członkostwem nigdy nie chciał, ja też nie chciałem nic. Na pochody pierwszomajowe i tak szli wszyscy studenci i wykładowcy - obowiązkowo. Tak na dobrą sprawę jako student nie wiedziałem nawet czego mogę od nich chcieć. I tak to trwało. Na zebrania partyjne musieli w zakładzie chodzić bez wyjątku wszyscy inżynierowie i kierownicy, więc i tu niczym szczególnym się moja "partyjność" nie wykazała. Dopiero na pół roku przed awansem w związku z weryfikacją członków egzekutywa zakładowa dowiedziała się diabli wiedzą skąd o moim członkostwie. Sami ściągnęli moje kwity z uczelni i tylko kazali zapłacić zaległe składki za dwa lata. Skąd się wzięła ta ich pewność, że po ośmiu latach takiego "bycia" jestem dobrym materiałem na dyrektora? Cholera wie.

Następnego dnia zasiadłem w moim nowym zakładzie pracy za takim samym lotniskowcem, ale już od strony szuflad, bo jak się okazało, miejscowa stolarnia tylko takie biurka robiła. Zaraz zresztą kazałem kupić możliwie duży stół żeby móc wraz z kierownikami działów usiąść i omówić sprawy bez obijania sobie kolan. Biurko-barykada zostało, bo było "na stanie" także dosłownie ‐ każdy poza mną musiał przy nim stać albo siedzieć pół metra od mebla. Nie potrafiłem w ten sposób z nikim po ludzku porozmawiać.

...to było ponad dziesięć lat temu.

Siedząc na wielkim sagu kłód dojadłem właśnie kanapkę, gdy zza pagórka ukazały się czubki jeleniowego poroża. Zwierz szedł powoli i nigdy bym go nie zauważył, ale w tym akurat miejscu wystawił mi rogi na tle sporej plamy błękitu prześwytającego między drzewami. Oczy zawsze miałem kiepskie. To jednak prawda, że nawet mała zmiana w natężeniu światła jest łatwo dostrzegalna. Chyba nawet nie patrzyłem w tamtą stronę. Ruch jednakowoż skierował moją uwagę w odpowiednim kierunku. Złapałem plecak i schowałem się za balami.

Szedł samiec a za nim trzy samice z dwoma koźlakami. Skubały sobie pierwsze tego roku źdźbła trawy. Poruszały się powoli i bez jakichkolwiek obaw zbliżały się. Pan i władca tego stadka nieco ich wyprzedzał, podnosił co jakiś czas łeb i łapał wiatr w nozdrza zapewne sprawdzając w ten sposób czy nie nadchodzi niebezpieczeństwo. Wiało całkiem z boku, więc miałem nadzieję na dłuższą obserwację. Położyłem się na wilgotnej ziemi i spokojnie obserwowałem nie odważając się nawet na przeżucie tego co miałem w ustach. Koźlaki bawiły się beztrąsko. Odbiegały od matek goniąc się zaciekle ale po każdym odskoku wracały łukiem do stadka. Skubały niewiele. Pewnie opity się matczyne mleko i kiepskie pędy traw mają gdzieś.

Nagle zawiąło im od mojej strony. Samiec podniósł łeb, znieruchomiał i bez wydania najmniejszego dźwięku gwałtownie popędził w dal. Całe towarzystwo pognało za nim. Tylko nieliczne trzaski gałęzi świadczyły dokąd umknęło całe stadko. To też po chwili umilkło.

Pewnie poczuły dym papierosowy od dawno zgaszonego peta. Trzeba by raz wreszcie rzucić to wstrętne palenie. Wstałem, dokończyłem kanapkę i poszedłem dalej.

Rok osiemdziesiąty i osiemdziesiąty pierwszy to był czas wielkich dyskusji. Moje miasteczko leży z dala od wielkich aglomeracji, więc nic wielkiego się nie działo. Trudności aprowizacyjne dosięgły wszystkich, ale nasz zakład, jako że z branży spożywczej, radził sobie jakoś wymieniając się produktami z innymi zakładami. Ot, handel wymienny. Tylko dział pracowniczy tyrał po nocach przygotowując dla załogi kolejne paczki. Sprawiedliwie, co do jednego cukierka.

Na prowincji zresztą w ogóle nie było najgorzej. Zawsze gdzieś niedaleko można było kupić wieprzka i to zabitego w zgrabnych, umytych półtuszkach. Mleko, śmietana a więc i masło ‐ to nie był żaden kłopot. W życiu nie miałem w domu tyle wódki, bo kartki grzech było zmarnować.

Śmiesznie było nawet czasami. Na jakiejś naradzie wstał pracownik i zarzucił mi, że ten nasz zakład to już tak całkiem zacofany, bo nawet nie było strajku. I, co dyrekcja myśli w tej sprawie?

Nic nie myślałem o potrzebie strajku jako wskaźnika nowoczesności. Zapytałem tylko jak to jest, że robotnik teraz pali się do kapitalizmu, który przecież kopnie tego robotnika nie tylko w d... On go wręcz wdepcze w błotnistą ziemię i już. Taką ma przecież naturę ten kapitalizm, że dla robotnika to on milutki nigdzie na świecie nie był, nie jest i zapewne nigdy nie będzie. A na pewno jest zdecydowanie lepszy dla

tych, którzy tego robotnika ostro gonią do kiepsko opłacanej roboty. Nie martwię się więc ja osobiście. Niech go robią. Tylko nie w godzinach pracy, bo tylko za solidną pracę ma być teraz płaca. Tego przecież chcą, nie? Chyba nie do końca chcieli.

Wezwali mnie oczywiście świątlejsi towarzysze do komitetu i wyłuszczyli mi ziarno ze strąka:

-Wiecie dyrektorze, nie wchodźcie może w tak filozoficzne dyskusje z załogą, bo teraz są inne czasy. Inne wiatry wieją... rozumiecie?

Nie rozumiałem tej inności wtedy i nie rozumiem nadal. Praca, to praca. Od narad nie przybędzie produkcji. Jak to gdzieś usłyszałem: od mieszania herbata nie będzie bardziej słodka. No i nie była. Mimo ostrego mieszania i to we wszystkie możliwe strony.

.....
Chyba za dużo sobie tych kilometrów zapodałem. Teraz to już nawet nie ma jak skrócić drogi. Po zatoczeniu potężnego łuku po lesie zbliżałem się już na wprost do znajomej leśniczówki, ale kilometrów zostało kilka a nogi coś ślamazarne.

Zbliżał się wieczór. Nieznacznie, ale nieodmiennie szarzało z minuty na minutę. Toż to dopiero marzec. Ciepły w tym roku, ale marzec. Dni jeszcze krótkie. Przyspieszyłem więc nieco i wtedy na niego wylazłem. Trudno to inaczej określić, bo za zakrętem drogi zobaczyłem szaro bure cielsko, jak się okazało odyńca. Byłem za blisko by się wycofać. Jeszcze kilka kwadransów i byłoby tak ciemno, że mógłbym go nie zauważyć i przewrócić się o zwierza.

Natychmiast odwrócił się do mnie przodem i zobaczyłem poźółkłe szabliska. Wcinał właśnie marchew rozsypaną tu zimą przez leśników czy myśliwych i zadowolenia to ja w jego ślepiach dostrzec nie mogłem. Może z powodu późnej szarówki.

Fajnie, tylko że w sosnowym starodrzewiu to na drzewo uciec dość trudno. Nie obejmę pnia przy ziemi. Ucieczka w rzadkim lesie przed rozjuszonym dzikiem też nie wchodziła w rachubę. Nie te nogi i pewnie nie te lata.

Jak się już ma tak dużego pecha, żeby w wielkim lesie spotkać wieczorem wielkiego dzika, to czasem miewa się i nieco szczęścia. Mój odyniec okazał się nie za bardzo rozjuszony i z gromkimi oznakami wielkiego zapewne niezadowolenia, ale za to sam i bez niczyjej namowy zwał w las porywając kolejną marchew po drodze.

Teraz już bez ociągania się ostro pomaszzerowałem do znajomych.

Kochani ludzie, czekali na mnie z kolacją. Nie wiem do końca, ale wyglądało mi to na mocno spóźniony obiad. W każdym bądź razie wyciągnięta z plecaka butelka jarzębiaku w sam raz pasowała. Od dawna tylko w tej walucie rozliczałem się u nich za nocleg.

Zawsze lubiłem z nimi pogadać. Mieszkając w lesie mieli znacznie większy dystans do spraw światowych i zachowali dzięki temu dużo więcej zdrowego rozsądku niż mieszkańcy miast, choćby tych najmniejszych. Zepsuł się im telewizor co mnie bardzo ucieszyło. Przedwcześnie jednak. Ta awaria trwała już ponad tydzień i zażądali abym im wszystkie wiadomości opowiedział. Najlepiej tak jak w dzienniku telewizyjnym. Powariowali...?

-A radia nie słuchacie?

-Co tam radio? W telewizorze to wszystko widać. Jak człowiek patrzy, to lepiej się skupi i zrozumie. Z radia to dobrze jest muzyki posłuchać.

Rad, nie rad opowiedziałem czego tam się dowiedziałem ostatnio ze szklaka. Opuszczałem co bardziej bulwersujące wieści, ale i tak mocno szpakowały leśniczy kręcił głową z dezaprobatą. Skończył się jarzębiak. Gospodyni postawiła drugi. Dobrze jest mieć ze znajomymi zbliżone gusty.

-Do czego to zmierza? Rozumiesz coś z tego? Dyrektor jesteś, musisz coś wiedzieć.

-Gówno wiem. Każą cicho siedzieć, nie drażnić załogi i możliwie spowalniać jej zapędy. Postulaty żądaniowe – tak to się teraz nazywa. Chyba czują już, że władza im się wymyka. Grają na zwłokę.

-Piorun tam z władzą i polityką. I tak nie umieli jej utrzymać, ale ta gospodarka. Nawet tu, w lesie pijaczki nie chcą pracować. Teraz to oni będą rządzić – tak mówią.

-Z tym rządem to przesada. Widziałeś taki kapitalizm, żeby prostaczki rządziły?

-To musi chodzić o coś zupełnie innego. Popatrz, jeżdżą ci związkowcy, naradzają się, nikt im nie płaci.

Skąd oni mają tyle pieniędzy? Ty wiesz ile musi ta cała zabawa kosztować? Ja tu, w lesie siedzę. Za dużo nie wiem, ale tak skromnie licząc to będzie dobrych kilka milionów dolarów licząc po czarnym kursie.

-No, związkowcy płacą składki...- próbowałem go ostudzić.

-Chrzaniś, jakie tam składki? Ile twoi pracownicy płacą tych składek? Pewnie nawet nie wiesz – dodał widząc moje okrągłe oczy.- Dużo więcej niż na stare związki? Pewnie nawet mniej, co? Co ty myślisz, stary CRZZ utrzymałby się ze składek, choć były całkiem, całkiem? A nowe związki branżowe to co, utrzymują się same? Tam zawsze szły grube pieniądze z budżetu. Bez tego nie daliby rady.

-Czy ty sugerujesz, że styropian utrzymuje się z jakiś „lewych” pieniędzy? – myślałem, że to go przyhamuje.

-Dyrektor jesteś, a jak dziecko pytasz. Nie ma lewych pieniędzy. Są tylko niezbyt legalne dofinansowania. Już nasi praojcowie to stosowali. Królowie, księżęta a prałaci zapewne też. I nie łudź się, stosują to i obecni. – to księżęta, prałaci wziął chyba z międzynarodówki, ale niech mu tam. Coś w tym jednak

było.

-Wiesz, opowiem ci coś. Tylko się nie śmieję. – włączyła się gospodyni. – Zgadnij, jaka była pierwsza decyzja przywódców naszego Powstania Styczniowego, które jak wiesz - w Rosji carskiej miało największego przeciwnika. Otóż ci światli politycy wysłali statek z bronią dla Czeczenów. Rozumiesz? Wróg Twojego wroga jest Twoim przyjacielem! – wyraźnie marnowało się na tym pustkowiu jej magisterium z historii.

-A tak powiedz mi, jak Ty to widzisz? Czego Zachód ma za dużo? – leśniczy nie dał się wytrącić z dyskusji

-No, ludzi do pracy. Bezrobocie mają...

-Nie kochanieńki, oni mają za dużą produkcję a za mały rynek do jej sprzedaży. I jeszcze mają za dużo maszyn produkujących przestarzałe produkty, których u nich nie można sprzedać. Im jest potrzebny ogromny rynek zbytu na takie towary których u nich nikt nie kupi. Ot, co! To podatnik zachodni potrzebuje pracy. Jak sprzedadzą swoją nadprodukcję, to i podatki wpłyną do ich budżetów. Chyba jednak stanowczo za dużo wypiliśmy. Podniosłem się pytając, gdzie mam spać.

-Na górze, jak zawsze. Napaliłam, jak będzie Ci za ciepło to uchyl okno. Tylko nie za szeroko. Nad ranem będzie mróz!

-Niepotrzebnie paliłaś w piecu. Mam dobry śpiwór.

-W śpiworze to Ty sobie możesz w górach spać. Tu na razie jest jeszcze normalny dom i będziesz spał w normalnej pościeli i pod porządną pierzyną.

Coś mnie tknęło: na razie? normalny?, ale z racji sporej dawki alkoholu dałem za wygraną. Co tu gadać. Pościel jest zawsze przyjemniejsza niż najlepszy śpiwór.

.....
W takich warunkach zawsze sypiam długo. Kiedy zszedłem na dół, leśniczego już nie było w domu. Gospodyni kazała się szybko myć. Na stole czekało śniadanie. Tak tu było zawsze. Przywoziłem zwykle swój prowiant, ale pozwalano mi go tylko zostawić.

-W tym domu wszyscy zawsze jedzą to samo. – tak kiedyś mi powiedziała i tak już zostało. Bez zbytnich ceregieli wypakowałem więc swoje zapasy i postawiłem na stole.

-A co u Was?

-Po staremu. Co tu w lesie może być nowego? Stara bieda.

-Daj Boże każdemu taką biedę. – szyneczka była - palce lizać.

Smakowało wybornie, ale ciągnęło mnie do lasu.

-Obiad będzie o drugiej? Pociąg masz o siedemnastej albo o dwudziestej. Ten o dwudziestej już nie jest taki zatłoczony jak dawniej. Stocznia zwalnia dojeżdżających – wyraźnie namawiała mnie na późniejszy wyjazd. Zobaczmy.

.....
Słońce już stało wysoko, ale może coś ciekawego spotkam. Aparat wziąłem na szyję i spacerowym krokiem poszedłem w las. Okolicę znałem wyśmienicie, więc łatwo doszedłem nad ulubione jezioro. Bezlistne nad nim drzewa pozwalały na szerokie widoki. Szczęśliwie pogoda dopisała. Nadbrzeżna łąka była w sporej części zalana i musiałem iść wyżej. To spiętrzenie było większe niż w poprzednim roku i nieco się zdziwiłem.

Kiedy doszedłem do strumienia wypływającego z jeziora zrozumiałem skąd ten wysoki stan wody. Na strumieniu było żeremie. Przez wiele lat nie było tu bobrów a tu, proszę - żeremie jak się patrzy. Dobre osiemdziesiąt centymetrów spiętrzenia. Kawałek dalej następne, jeszcze większe. Masa drzew „skoszona” przez bobry. Niektóre, tak zwalone drzewa były porżnięte zębami na klocki. Zostały tylko kupki wiórów co jakiś kawałek wzdłuż śladów powalonych kłód. Poszedłem dalej, ale kolejne żeremia już nie były tak duże. Wróciłem do największego i postanowiłem zasadzić się z teleobiektywem na bobra. Może, akurat?

Siedziałem w bezruchu skulony za sporym karpielem i czekałem wpatrzony w rozległe rozlewisko. Jeśli wyjdzie bóbr i zacznie pływać, muszę najpierw zobaczyć rozchodzące się fale. Długo nie czekałem. Najpierw zobaczyłem lekką falkę idącą od podtopionych krzaków. Chlupnęło. Za chwilę wynurzyło się o kilka metrów dalej. Śliczna, błyszcząca morda ukazała się wprost z wody. Płynęła sobie beztrudnie skroś rozlewiska. Na szczęście w bok ode mnie. Gdyby płynął wprost na mnie, nie miałbym żadnych szans. Po zbliżeniu się natychmiast by mnie wyczuł i czmychnął na wiele godzin ostrzegając zapewne współplemieńców.

Wylaź na brzeg i przypiął się do napoczętego już drzewa. Ostro pracował, z krótkimi przerwami. Do mnie dochodziły tylko jego „heblarskie” odgłosy. Spokojnie i bez pośpiechu rozciągnąłem nogi statywu, przykręciłem aparat zawczasu uzbrojony w długi obiektyw z odpowiednim filtrem i osłoną. Mój aparat miał dość głośną migawkę, więc obawiałem się że zrobię tylko jedno zdjęcie i bóbr mnie usłyszy. Musiałem więc czekać na to jedno ujęcie, które mnie zadowoli. Aparat był wycelowany na statywie a ja małą półlornetką podglądałem „rębacza”. Nagle wychynął z wody następny bóbr i jeszcze jeden. Co za dużo, to nie zdrowo. Nie byłem zdecydowany, na którego się nastawić. Machanie obiektywem nawet z takiej odległości musiało skończyć się źle. Nawet niewielki odbłask od szkła mógł

splószyć zwierzaki. Zostawiłem aparat i przysłoniętą lornetką uprawiałem fascynujące podglądactwo. Fantastyczne to było. Jeden wyszedł z wody, rany - jaki wielki! Nawet bez lornetki mogłem go obserwować. Majestatycznie poszedł w krzaki i po chwili wytaszczył stamtąd kawał gałęzi. Wlaź z nią w rozlewisko i trzymając w pysku wolniutko transportował do żeremia. W kompletnej ciszy pchał przed sobą tą gałąź robiąc spory kilwater. Czasem tylko woda chlupnęła przez drewno. Aż schował mi się za krzakami.

Wróciłem do pierwszego bobra. Ten nie przerywał pracy, wióry leciały ostro. Zdecydowałem się na niego, bo w międzyczasie gdzieś mi zginął trzeci. Skupiłem się na celowniku aparatu ściskając końcówkę wężyka spustowego. I wtedy pojawił mi się w oczach dawno zapomniany obraz.

Wiele lat wcześniej, jeszcze podczas studiów pojawili się u moich rodziców niespotykani goście. Niemka, u której w czasie wojny pracowała moja mama, przyjechała z jednym ze swoich synów. Moja mama jako Allesmädchen zajmowała się u swojej pracodawczyni głównie opieką nad małymi chłopcami. Nie było jej tam źle, jak na powszechnie spotykane warunki stosunków Niemców do Polaków. Po wojnie korespondowały z sobą sporadycznie z okazji świąt. Aż tu nagle pojawiła się mocno starsza pani z dziesięć lat starszym ode mnie synem.

Kłopot polegał na tym, że od dawna uczyłem się niemieckiego i mama podejrzewała moją napastliwość do Niemców. Miała rację. Ojciec przeszedł Oświęcim, okupację w Warszawie, Powstanie Warszawskie, obóz w Pruszkowie, później jeniecki transport pod Hamburg i całą odyseję powstańca.

Musiałem solennie obiecać nie ruszanie takich tematów. Pech chciał, że młody Niemiec (Berent mu było – pamiętam) sam zawadził o problem. Czując się zwolniony z obietnicy, ostro spytałem co myśli o granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej – wtedy to był temat jeszcze do końca nie rozwiązany.

A ten skubany niemiaszek palnął mnie jak pałką w łeb:

-Wiesz, po co się przy tym upierać. To grozi wojną. Ty możesz mnie zastrzelić. Ja mogę zastrzelić Ciebie. Dużo ludzi może zginąć. Po co nam to. Nam się dobrze żyje. My nie chcemy wojny. My Was KUPIMY! Myślałem, że mu gardło przegryzę. Jeszcze teraz to zdanie brzmi mi w uszach.

My Was kupimy! Wir werden Euch kaufen!

...i film się urwał. Dalej nie pamiętam.

Zrobiłem bobrowi kilka zdjęć - tak po prostu. Bez zbytniego przykładania się do tego. Podniósł się lekki wiatr i w jego szumie nie usłyszał migawki. Złożyłem sprzęt i cicho się wycofałem nie płosząc zwierzaka. W głowie szumiało mi to paskudne zdanie Niemca sprzed wielu lat. Wróciłem do leśniczówki sporo czasu przed obiadem.

A jeśli ten Niemiec mówił prawdę?

A jeśli leśniczy przekazał mi wczoraj swoje słuszne przeczucia?

A jeśli to rozbebeszanie gospodarki robione przez związki zawodowe jest rzeczywiście finansowane z zewnątrz?

A ja, idiota myślałem, że on posądza o to kościół!

-Co tam w lesie? – spytałem głupkowato, bo to ja wychodziłem z lasu a leśniczy siedział na ławce przed domem.

-W lesie to ja dawno nie byłem. Ja teraz do pracy jeżdżę na narady. Reorganizacje mamy robić! Nowe zasady gospodarcze wprowadzać! Nowoczesność w lesie będzie!- jego sarkazm był aż nadto widoczny.

-To źle?

-Za stary jestem na takie kawały! Toż to na kilometr pachnie zwolnieniami z pracy. Mnie dzisiaj spytali ile mam lat pracy? Kadrowy mnie pyta, rozumiesz? On to ma lepiej zapisane niż ja. O zdrowie pyta, czy nie chciałbym pojechać do sanatorium? Zdrowie podreperować? Ja mam dziesięć lat do emerytury a oni mówią o warunkowych wcześniejszych emeryturach. To się teraz nazywa pomostowa emerytura... Ile ty masz lat?

-Do emerytury to będzie jeszcze z ćwierć wieku.

-No to masz problem. Ale mówię Ci, daj sobie siana z tym dyrektorowaniem. Nie doczekasz! Wymienią Cię na nowszy, bardziej amerykański model. A na pewno na taki co się Zachodowi będzie bardziej podobał bo będzie bardziej im posłuszny.

W domu byłem późnym wieczorem.

-Ktoś do Ciebie dzwonił wczoraj z Warszawy. Był bardzo zdziwiony, że Cię nie ma. Będzie dzwonić jutro wcześniej rano. – spokojnie relacjonowała małżonka.

-Niech dzwoni. To już nieaktualne.

Postawie

W tydzień później namówiłem radę pracowniczą na rozpisanie konkursu na stanowisko dyrektora zakładu. W miesiąc po tym, tak jak planowałem, nie wygrałem tego konkursu i zacząłem życie bezrobotnego. Na szczęście krótko byłem bez pracy. Sam ją sobie dałem.

Epilog - po trzynastu latach

Dalsze losy głównych bohaterów opowiadania1:

1. Leszek, związkowiec z centrali – powiesił się w wynajętym warszawskim mieszkaniu po tym jak go oskarżono o defraudację dużej kwoty z pieniędzy związkowych.
2. Pijaczek, członek zarządu – zapił się i zamarzył zimą w pijackim zaułku miasteczka.
3. Zakład pracy autora – jest zamknięty, wszyscy pracownicy bez pracy a produkt, który zakład produkował importujemy i to wcale nie dlatego, że jest tańszy.
3. Leśniczy – mimo przekroczenia wieku emerytalnego nadal pracuje – założył własną szkółkę drzewek i krzewów ozdobnych. Eksportuje je do wielu krajów całego świata i nie nadąża z produkcją.
4. Żona leśniczego – pracuje z nim. Zajmuje się eksportem.
5. Leśniczówka – zlikwidowana. Jest tam teraz letni zajazd z klubem go-go.
6. Rejon lasu, którym zarządzał leśniczy – wyludniony i wyraźnie dziczejący, domy pracowników leśnych wysprzedane na letniska. Coraz więcej tam działek letniskowych. Nieliczni miejscowi żyją z remontowania dacz wiosną i okradania ich oraz dewastowania zimą.
7. Bobry – mają się świetnie, co roku ich więcej. Odwiedzam je czasem.
8. Berent z Niemiec – może jednak nie tak szybko nas kupi.
9. Autor opowiadania – robi co widać. Na pewno nie kupi co prawda żadnej z Wysp Kanaryjskich, ale też i nigdy nie marzył o tym.